

ZARYSY AMERYKI.

(Z NOTATEK TURYSTY).

Nowy Rok w New-Yorku.—Wymuszone pocałunki.—Processye maskaradowe.—*Dead-beats-club*.—Przyjęcie w ratuszu.—Śnieżki.—Wizyty dam. Piąta aleja.—Domy Krezusów.—Wewnętrzne ich urządzenie.—Zasługi.—Wydatki.—Domy gry.—Bezpłatne śniadania.—Świecenie niedzieli.—Emanypacya kobiet.—Ich sumiennosc i uczciwosc.—Krzewicielki oświaty i jak się z nimi obchodzą.—Wady kobiet.—Zgubna zasada i jej skutki.—Wysztalcenie.—Moda.—Fałszywe zęby i perły.—Nowe sitko.—Jednostajność oświaty.—Stosunki rodzinne.—Ślizgawki, loterye fantowe.—Niemieckie towarzystwo.—Sentymentalizm i apetyt.—*Lodging houses*.—Teatr ludowy i jego spektatorowie.—Dobroczynność Północy i paraliżowanie jej przez Stany Południowe.—Literatura amerykańska i jej przedstawiciele.—Metodyści i ich meeting.—Murzyn kaznodzieja.—Praktyczność i idealizm.—Namiętność zakładów.—Wyścigi parostatków i katastrofa.—Na Zachód!—Koloniści.—Kopalnie złota.—Szwartz.—Indyanie.—Wstręt do pracy polu-dniowców.—Proletaryat.—Ludzie jedzący ziemię.—Rodzina glinojadów.

Ponieważ przybyłem do Nowego Yorku na kilka dni przed Nowym Rokiem, rozpocznę przeto swoje notatki od opisu wrażeń jakich tego dnia doznałem. Przedewszystkiem winienem nadmienić, że istnieje tu szczególny zwyczaj, na który pewnie mężczyźni się nie gniewają: oto wolno im tego dnia całować się z piękną połówą rodu ludzkiego. Pierwszego stycznia w każdym domu od rana zastawiają stoły rozmaitemi pokarmami i napojami, a gospodyni domu przyjmuje odwiedzających, z których każdy, skosztowawszy coś z daru Bożego, ma prawo pocałować ją; w dniu tym żadnemu ze swych znajomych zaszczytu tego nie odmawia. Gospodarz przytem jest nieobecny, bo tak, jak inni mężczyźni, zajęty jest robieniem wizyt w mieście. Są tacy co obiegają w tym dniu 200 do 300 domów; to też wizyty te

ciągną się od rana do późnej nocy. Amerykanie, którzy w ogóle nie trzymają się wielu europejskich zwyczajów, uważają przecież wizyty noworoczne za rzecz niezbędną. Łatwo sobie wyobrazić jakito ruch i zgiełk panuje dnia tego na ulicy! Oprócz powozów, śpieszących tam i sam z powinszowaniami, ciągną się wszelkiego rodzaju wozy, obwieszane chorągiewkami, nadpisami i napełnione przybraniami w rozmaite kostiumy ludźmi, jak to ma miejsce podczas karnawału w Paryżu. Processy te tworzą zwykle członkowie rozmaitych klubów i t. p. zgromadzeń. W r. 1867 szczególnie odznaczał się *Dead-beats-club*, który nawet umyślnie powstał dla utworzenia takiej maskaradowej processyi. Pod sztandarem tego klubu jechało kilka powozów, jeden za drugim, i wszystkie wzbudzały podziwienie publiczności. Ale panie, przyjmujące gości, bynajmniej nie były względem nich tak przyjaźnie usposobione. Członkowie *dead-beats*, których było około 60, za główną widowinę działalności swojej obrali *piątą aleję* (*fifth Avenue*), to jest najwspanialszy i najbogatszy z cyrkulów Nowego Jorku. I tu, jak w innych częściach miasta, stoły były nakryte i zastawione jadłem, a gospodynie przyjmowały wizyty od dziesiątej rano do północy. *Dedbitsy* nigdy nie przestępowali progu tych świetnych apartamentów, ale w dzień Nowego Roku nawet i nieznanym odwiedzają w Ameryce Północnej. Przed słowami: „*Happy new-year!*” (winszujemy Nowego Roku!) otwierają się wszystkie drzwi. *Dedbitsy* wymawiali tę czarodziejską formułę, i dzięki jej, sprząтали wspaniałe pieczenie, kosztowne przekąski, wyborne wina i przysmaki. Przechodzili tym sposobem od domu do domu naksztaft szarańczy, pozostawiając za sobą tylko spustoszenie i rozgniewane gospodynie, które po ich wyjściu na nowo zastawiać musiały swoje stoły. Członkowie tego dowiecznego klubu postępowali w ten sposób do północy. Możliwość takiej *sui generis* działalności chyba tém tylko da się wytłumaczyć, że szeregi pustoszącej armii nieustannie zapełniają się nowymi rekrutami, w zamiar tych co wystąpili z szyku skutkiem przejedzenia się lub przepicia. Niektórzy bogacze pogardzający zwyczajem, zupełnie nie otwierali tego dnia drzwi swoich, a ograniczyli się tylko na zawieszeniu w ganku koszyków do kartek wizytowych. *Dedbitsy* ukarali ich za to kocią muzyką i narzucali do koszyków miedziaków, zgniłych jabłek i rozmaitego śmiecia.

W ratuszu (*City-Hall*) także było przyjęcie dnia tego. Mer Hoffmann przyjmował najprzód urzędników i znakomitsze osoby, a następnie każdego, kto tylko przyszedł. Tu jednak zachowywano wstrzemięźliwość, t. j. nie było żadnych spirytusowych napojów, a więc i *Dedbitsom* nie zdało się pożytecznem tracić czasu na podobne wizyty. Nie im tylko samym zawróciła się głowa ku wieczorowi. Liczba osób idących niepewnym krokiem wzrosła ku wieczorowi do tego stopnia, że ci co szli inaczej, dziwnie jakoś nie przystawali do ogólnego obrazu. Bo też rzadko głowa wytrzymać zdoła 14 godzin nieustannych libacyj. O północy wszy-

stkie drzwi się zamykają, co jednak nie przeszkadza niektórym dżentelmanom natarczywie do nich się dobijać, nawet i po tej godzinie. Policja starannie podbiera tych naruszcycieli publicznego spokoju i odprowadza ich na nocleg skarbowy. Pomiedzy aresztantami tego rodzaju, którzy nazajutrz wypuszczają, znajdują się nieraz osoby należące do najwyższych warstw społeczeństwa.

Oprócz procesyi, w dzień Nowego Roku widzieć można inne jeszcze ciekawe widowisko. Uliczniki na placach i rynkach urządzają rodzaj bateryi, z których ciskają śniegiem na przejezdnych. W tym mianowicie roku mogli sobie zrobić tę przyjemność, bo zima była mroźna i śnieżna. Przejeżdżający, po większej części, przyjmują ten nie najprzyjemniejszy żart bez gniewu, i starają się tylko jak najzręczniejsz uniknąć pocisków; lecz biada temu, ktoby się rozgniewał! W mgnieniu oka osypią go ze wszystkich stron gradem śnieżek, tak, że musi jak niepyszny uciekać wśród niemiłosiernego śmiechu widzów, którzy zawsze w takich razach stoją po stronie atakujących.

Nazajutrz mężczyźni siedzą w domu, a damy robią wizyty. W domach także zastawiają rozmaite przekąski i łakocie, ale wszystko odbywa się cicho i przyzwyczajenie, i tylko po weselszych i zarumienionych twarzyczkach przejeżdżających dam, wnosić można, że i one nie odmówiły jakiego kieliszka likieru lub szampa. Zresztą damy odwiedzają tylko blizkich znajomych, a gospodarz, którego wizytą są zaszczyca, ma prawo pocałować odwiedzającą. Trzeciego stycznia wszystko już wraca do zwykłego trybu życia.

Wspomniałem wyżej o Piątej alei. Przy tej, jak i przy sąsiednich ulicach wznoszą się domy bogatych obywateli Nowego-Jorku. Domy nie stoją tuż przy trotuarze, ale oddzielają się odeń wązkim pasem ziemi, zasadzonej drzewami i ogródkonę żelazną kratą. Przez ten rodzaj ogródka prowadzi dróżka, przeznaczona dla posługi. Kamienne schody, wznoszące się bezpośrednio z trotuaru na pierwsze piętro, tylko panom służą. W domach tych nie ma ani kantorów, ani magazynów; mieszkają tu jedynie gospodarze, których handlowe i przemysłowe zakłady znajdują się w środku miasta; dorózkarzy także niema w tej części miasta, są tylko prywatne powozy.

Od alei Madison rozpoczyna się prawdziwy cyrkuł Krezusów. Łmachi stają się coraz wspanialszemi, a wraz z niemi i karety i liberya lokai. Aleja ta niezmiernęj długości, ciągnie się z północy na południe. Balustrady tu już nie żelazne, lecz marmurowe z kosztownemi rzeźbami. Ściany domów także pokryte białym marmurem lub szarym granitem. Dachy po większej części, jak i w całym Nowym-Yorku, płaskie. Balkonów nadzwyczaj wiele. Okna nie roztwierają się na dwie połowy, jak u nas, ale podnoszą się i składają z dwóch wielkich szyb. W takich domach mogą tylko mieszkac królowie-negocjanci (*prince-merchants*), jak

ich tu nazywają. Wynajęcie takiego domu kosztuje rocznie 5—10 tysięcy dolarów.

By dać pojęcie o wewnętrznym urządzeniu tych pałaców, opiszę jeden z nich, zajmowany przez pewnego bankiera. Cała rodzina składa się z dwóch tylko osób: męża i żony. Na dole od ulicy, znajduje się wspaniała jadalnia; przy niej bufet z kryształami, srebrem i porcelaną. Z tyłu kuchnie, pralnie i t. d. z wyjątkiem na dziedziniec zasadzony kwiatami. Jadalnia wybita kosztownymi dywanami; inne pokoje płótnem woskowém. Na pierwszym piętrze znajdują się salony i bawialne pokoje; w których posadzki wysłane są kobiercami, kosztującemi wiele tysięcy dolarów. Wszystkie podwoje wyrobione z najdroższego drzewa, a ozdobione złoćcistemi arabeskami. Na marmurowych i jedwabnym obiciem pokrytych ścianach wiszą drogie obrazy. Urządzenie tych dwóch pięter kosztowało przynajmniej 30,000 dolarów. Tu też znajduje się i biblioteka gospodarza, oprawy książek precudne; ale same książki, zbieranina bezładna.

Korytarze i schody także są pokryte precudnymi kobiercami. Na drugim piętrze znajdują się pokoje sypialne. Ani pojęcia nie mamy o wielkości łózek amerykańskich. Wraz z firankami zajmują one przynajmniej 72 stopy kwadratowe przestrzeni. Łóżko takie z firanką od mustyków kosztuje około 1000 dolarów. Za sypialniami wspaniałe łazienki z marmurowym bassenem, zwierciadlanemi ścianami i t. d.; następnie jeszcze kilka buduarów z tymże samym zbytkiem przyozdobionych. Na trzecim piętrze mieszka rządcą domu, kamerdyner i kucharz; na czwartym reszta posługi. Do wszystkich pięter dochodzi woda rurami. Szaf nigdzie nie ma; miejsce ich zajmują wygodne nisze w ścianach.

Łatwo wyobrazim sobie jak dobrze musi być posłudze w takim domu. Utrzymanie jej wyborne: rządcą domu pobiera 150 dolarów co miesiąc (do niego należy nadzór za porządkiem domu i wszelkie sprawunki), kucharz 120 dolarów, kamerdyner 100 dolarów i t. d. Nawet pomywaczka pobiera 25 dolarów miesięcznie. Codzienne wydatki takiego domu wynoszą około 100 dolarów, lubo i to prawda, że przynajmniej trzy lub cztery ubogie rodziny żywią się codziennie resztkami z pańskiego stołu. Koni nie chowają w domu: za ich utrzymanie wraz z powozem, płacą miesięcznie wielkiemu zakładowi Livry 500 dolarów. Gdy do tych rozchodów dodamy to co się wydaje na stroje, teatru i t. d., to nie dziwim się wcale, że rodzina z dwóch tylko osób się składająca przeżywa rocznie około 100,000 dolarów. Wszystkie te liczby poczerpnąłem z najautentyczniejszych źródeł, a przywiodłem je dla tego by dać pojęcie o bogactwie Nowego-Yorku, i o tém co kosztuje tu życie w wyższych sferach społeczeństwa. Ci co mają dzieci, naturalnie tracą jeszcze więcej: guwernerowie i guwernantki otrzymują od 2000 do 3000 dolarów rocznie.

Nigdzie nie zdarzyło się nam widzieć domów gry z takim przepychem urządzonych. Poszedłem przez ciekawość do jednego

z takich domów, najmodniejszego w Nowym-Yorku, do którego wstęp został mi ułatwiony przez pewnego włocha, namiętnego gracza. Zanim jednak przystał na moją propozycję, wręcz mi powiedział: „cokolwiekby się stało, pamiętaj pan, że nie namawiał pana do tego.” Zapewnie się obawiał by i mnie nie skusił szatan gry. Ale byłem pewny siebie. Zakład ten, utytułowany niewinną nazwą restauracyi, leży w najmodniejszej części miasta. Wiele ze stołujących się tu osób, ani domyśla się tego co się dzieje o kilka kroków od nich za ścianą. Uważają wprawdzie, że niektórzy goście nikną, nie wychodząc przez drzwi zewnętrzne, ale nie jeden sobie pomyśli, że panowie ci wychodzą żeby się napić w osobnym pokoju. jak to jest we zwyczaju yankesów.

Gdyśmy weszli do wspólnej sali, mój towarzysz szepnął coś jakimś panu, stojącemu u kasy: ten pociśnął kilkakrotnie rękojeść telegraficznego dzwonka, potem przeszliśmy przez boczne drzwi i znaleźliśmy się w długim korytarzu, z którego, po wielu zakrętach w prawo i w lewo, dostaliśmy się do wspaniałego salonu. Wszędy widne było złoto, marmur i kosztowne meble. Za tym salonem znajdował się drugi, w którym stoły były zastawione najwysmienitszymi winami i przekąskami na zimno. Wziąłem sobie ostryg, zapiliśmy je wybornem Chablis, potem zjadłem kawał doskonałego cietrzewia, który opłukałem szklanką Margau, a na deser wybrałem sobie ciastko migdałowe, owoców i szampana. Jak widzicie przekąska była wcale nie zła, a jednak za wszystko co się tu zje i wypije żadnej zapłaty nikt nie wymaga. Wyjątek tylko stanowią cygara, są one w najlepszych gatunkach hawańskich, i sztuka kosztuje 50 centów (około pół rubla, ale podług zwyczaju, daje się lokajowi dolara, nie wymagając reszty).

Sądząc z długości drogi, którąśmy przeszli, wniosłem, że się znajdujemy już nie w tym domu, w którym była restauracya. „Masz pan racya, rzekł mój towarzysz. Jestto ostrożność przedsięwzięcia z względem policyi tutejszej, która nie toleruje podobnych zakładów.”

Rozmieniłem w kasie dziesięć dolarów na marki, włoch mój toż samo uczynił z 1000 dolarów. Nie grają tu bowiem w gotówkę, ale w marki czyli liczmany, które następnie w kasie napowrót się odmienniają. Weszliśmy najprzód do pokoju przeznaczonego na ruletę. Było tu już około półtora sta osób. Postawiłem dwa dolary, poszczęściło się mi i za chwilę miałem już w kieszeni 130 dolarów liczmanami. Towarzysz mój, przeciwnie, bardzo był niešťczęśliwy, bo wkrótce postradał połowę swego mienia.

Towarzystwo graczy składało się z amerykańków, francuzów, hiszpanów, włochów i t. d., lecz ani jednego nie było Niemca, pomimo, że mnóstwo ich znajduje się w mieście. Przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, gdzie panował faraon. I tu także Niemców nie dostrzegłem. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa pochodzi to ztąd, że plemię germańskie i tu nie straciło swego zamiłowania, do bardziej patryarchalnego sposobu życia, to jest do prze-

pedzania czasu w szczupłym przyjaznym kątku, za butelką piwa i fajką. Faraon nie sprzyjał mi tak jak ruleta, i straciłem wszystko com wygrał na tej ostatniej.

Obok podobnych przejawów życia, w tymże samym Nowym-Yorku niedawno jeszcze toczono najgorętsze spory o potrzebie ścisłego obchodzenia dni świątecznych. Obecnie prawo to (excise-law) zostało już przyjęte i weszło w życie. Od rana już w niedzielę zamykają się wszystkie sklepy i traktyernie, tak że biedni wieśniacy, którzy przez całą noc jechali na ranne targowisko, nigdzie nie znajdą kątka gdzieby się i sami, i konie swoje ukryć mogli, nigdzie nie mogą kupić ani kieliszka wina, by rozgrzać swe zlodowaciałe członki. Wielu gospodarzy hotelów i zajazdów skazano na kary za to, że trzymali zakłady swoje otwarte w czasie niedozwolonym, a nawet odebrano niektórym prawo prowadzenia handlu. Do trzeciego lutego zima była tak mroźna w Nowym-Yorku, że van Bergen, prezydent towarzystwa opieki nad zwierzętami, oskarżył przed sądem kilku rzeźników za to, że przetrzymali kilka sztuk bydła, przeznaczonego na rzeź, przez całą noc na dworze. A przecież mógłby sobie ten zacny dzentelman wspomnieć, że tysiące ludzi muszą teraz drzeć z zimna przez całą dobę, do poniedziałku rano, w obec zamkniętych zajazdów; mógłby o tym wspomnieć dlatego, że wraz z nimi cierpią też i konie niewinne. Ale kwestyi dni świątecznych nikt dotknąć nie śmie.

Przed dwudziestą jeszcze laty podjęto w Ameryce pytanie równouprawnienia obu płci, ale wówczas same tylko excentryczne kobiety nią się zajmowały. Obecnie wraz z rozwiązaniem kwestyi niewolniczej, i sprawa emancypacyi kobiet także naprzód postąpiła, i żadnej prawie nie ulega wątpliwości, że jeszcze przed końcem bieżącego wieku, kobiety tutejsze zupełnie zostaną równo uprawnione z mężczyznami. Amerykanki nie bez słuszności utrzymują, że jeżeli murzyni, dotychczas jeszcze bardzo ciemni, nieokrzescani i w ogóle mniej nawet zdolni do ukształcenia aniżeli białe kobiety, będą przyjmować udział w sprawach państwa, to kobietom, prawo to tym sprawiedliwiej jeszcze się należy. I nie same już tylko egzaltowane osoby obstają za równouprawnieniem. Z bardzo małemi wyjątkami, wszystkie kobiety tak skromne panny jak i szanowne matki, są tego przekonania, że kobieta nie dla samego tylko domowego ogniska, lecz i dla działalności publicznej jest stworzoną. (?)

Nie wyrzekając w tej mierze własnego zdania, muszę wyznać, że takowe równouprawnienie mogłoby być pożytecznym dla Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki pod dwoma względami: najprzód że przez nie koniecznie musiałyby się zmiekczyć obyczaje mężczyzn; powtóre, że mężczyźni mogliby natenczas prosto i szczerze sądzić o postępowaniu kobiet. Obecnie rzecz to niemożliwa, skutkiem samej ich bezbronności. Na wszystkie sprawiedliwe zresztą zarzuty, mają one jednakową odpowiedź: „Zróbcie nas wol-

nemi, a potem sądziecie nas, ale nim to nastąpi, sami odpowiadajcie za to, żeśmy takimi, jakiemiście nas uczynili."

Za korzyścią przypuszczenia kobiet do rozmaitych publicznych obowiązków, bardzo wiele przemawia. Podczas wojny ostatniej, kilkaset kobiet przyjęto do służby skarbowej dla wycinania i składania całych setek milionów assygnat, wartości od 5 centów ($3\frac{1}{2}$ kop.), do 1000 dolarów (około 1420 rubli). Ani jedna assygnata nie zginęła, a wątpić należy, czyby się obeszło tak szczęśliwie przy najstaranniejszym nawet wyborze urzędników z pomiędzy mężczyzn. Wiele wprawdzie opowiadano o złom niby prowadzeniu się tych kobiet, ale nie wiem o ile te pogłoski zasługują na wiarę; to pewna jednak, że najzawziętsi ich nieprzyjaciele, nie im zarzucić nie mogą pod względem uczciwości.

Jest jeszcze i inna prześliczna strona w charakterze kobiet amerykańskich: jest nią zamiłowanie pracy i szczere zaparcie się dla dobra ludzkości. Wiele kobiet i panien udaje się na południe, dla krzewienia oświaty pomiędzy niewolnikami. I jakież wynagrodzenie za to ich spotyka? W północnych Stanach kobieta takim cieszy się szacunkiem, o jakim i wyobrażenia nawet nie mamy. Ublizenie kobiecie nigdy się nie przebacza. Co innego na południu. Nie tylko iż nikt z drogi nie ustąpi tym szlachetnym istotom, które przybyły tu w tak dobroczynnym celu, ale uliczniki mogą się im bezkarnie uragać, wyższa klasa z pogardą zamyka drzwi swoje przed niemi, a niższa wysmiewa bezmyślnie ich usiłowania. Jedyną nagrodą biednych tych istot jest miłość i wdzięczność nieszczęśliwych niewolników, którzy swobodę swą zawdzięczają energii i sprawiedliwości północy.

Ale jednocześnie w kobiecie amerykańskiej wiele jest i wad, które dziwnie jakoś odbijają obok takich przymiotów. Najpierwszą z nich nadzwyczajna lekkomyślność, nie harmonizująca wcale z ogólnym amerykańskim charakterem. Jakolwiekby to, pewna, że próżność, namiętne zamiłowanie zabaw światowych i strojów, nigdzie może nie zakorzeniły się tak głęboko jak w Ameryce. Większa część kobiet i panien wyższej, a właściwie mówiąc, bogatszej klasy, cały niemal czas swój przepędza przed zwierciadłem lub w powozie wizytowym. Tysiące rodzin rujnuje się skutkiem takiego sposobu życia, i prawdziwie, pojąć trudno, z kąd jeszcze pozostałe czerpią środki dla uskuteczniania takich wydatków. Dzieje się to skutkiem bajecznej działalności i energii mężczyzn, którzy na to zdaje się pracują, by zadowolić najnierozsądniejsze pragnienia żon i córek swoich. Obok tak błędnego pojęcia celu życia, rozwija się inne złe, które nie tylko zwiększa niemoralność, ale zagrażałoby nawet wyczerpaniem amerykańskiej rasy, gdyby coroczny napływ cudzoziemców jej nie podtrzymywał. Złe to panuje w Europie tylko w wyższych klasach, ale w Ameryce dotyczy wszelkich warstw społeczeństwa. Rozumiem tu powszechnie przyjętą i bynajmniej nie tajoną chęć Amerykanek posiadania jak najmniejszej ilości dzieci. Z badań

statystycznych doktora Allena, w stanie Massachusetts, na przykład, wśród anglo-saksońskiej ludności, liczba rodzących się zmniejszyła się o pięć razy w porównaniu z tą, jaką była przed 200 laty, gdy tymczasem w rodzinach niedawno przesiedlonych zachowuje się ten sam stosunek, t. j. rodzi się pięć razy więcej dzieci, aniżeli u oddawna osiadłych w Ameryce mieszkańców. Doktor Allen surowo potępia wszystkie przyczyny, które wywołały taki stan rzeczy.

Pod względem powierzchowności, to jest wdzięków ciała i dziwnie miłego obejścia, rzadko które kobiety dorównają Amerykankom. Każda z nich umie ubierać się do twarzy, potrafi zająć każde towarzystwo i zarazem prowadzić rozumną, a nieraz bardzo obszerną korespondencją, poruszającą najrozleglejsze i najgłębsze kwestye. Wszystkie one w ogóle lubią pisać i piszą dobrze. Każda z nich umie prócz tego znaleźć się w najtrudniejszych okolicznościach życia, i zachować się przyzwoicie i godnie w każdym położeniu, w jakim ją los postawi. Są jednak one zbyt zimne i jeżeli można tak się wyrazić, z pozoru tylko pociągające. Na piszącym te słowa, sprawiały wrażenie jakichś bogiń, podziwiała się je, chwali, ale oddawszy należny dank opuszcza się obojętnie.

Moda z równą, a może i z większą jeszcze wszechwładnością niż w innych krajach, w demokratycznej Ameryce panuje. Najnie rozsądniejsze mody przenoszą się tu z szybkością błyskawicy z jednego końca Stanów w drugi, i zaledwie pierwsze pudło z potworkami nowościami wypróżni się na eleganckim Brodweju (główna ulica Nowego-Yorku), wnet ogromne paki z takimże towarem rozsyłają się w najodleglejsze miejscowości. Jeżeli prawodawcy modom przyjdzie fantazyja nosić lichy jaki gałganek zamiast kapelusza, albo ostrzyżć sobie włosy, natychmiast każda najostatniejsza farmerka w tenże sam sposób głowę swą ubiera. Krynolinę widziano w takich miejscowościach, dokąd z trudnością dostawała się noga ludzka. Tutejsi dentyści tylko dla tego doprowadzili swą sztukę do takiej doskonałości, że mnóstwo kobiet kazało wyrwać sobie zęby, choćby zdrowe nawet, ale z jakiegokolwiek bądź powodu nie piękne, i wstawiać na ich miejsce sztuczne ale kształtne. Gdy nastąpi moda noszenia fałszywych brylantów i kamieni, to wszystkie noszą takowe, lubo nigdzie nie ma takiej obfitości prawdziwych kamieni drogich co tutaj. Lecz co szczególniejsza, to że fałszywymi tymi kamieniami, lokami i t. d. nikt nie ma zamiaru oszukać kogokolwiek: noszą się one nie dla tego, żeby gorsze okazać za lepsze, ale dla tego, że taka moda. Mężczyźni także ślepo trzymają się mody. Niech tylko dandysi niujorscy przystrzygą sobie brody w ten lub ów sposób, a najodleglejsi koloniści toż samo uczynią. W ogóle Amerykanie nie umieją zadowalać się tem co posiadają. Nie widziałem, zdaje się ani jednego Amerykanina bez zegarka i scyzoryka, ale wątpię czy którykolwiek z nich nosi jeden zegarek dłużej nad 2—3 lat, a scyzoryk dłużej nad 2—3 miesiące. Najprostszy człowiek

znajduje wszystko nie dość dobrém dla siebie; każdy pragnie czegoś lepszego, a przynajmniej nowszego.

Obok tego upędzania się za przedmiotami nowości i mody, również skłonności są Amerykanie do wszelkich zmian w dziedzinie moralności i religii. Dziś przejawia się jakiś chorobliwy nastrój religijny, jeżeli można tak się wyrazić, a jutro opanowują umysły kwestya o równouprawieniu obu płci i t. d.: podczas takich epidemii wszystko pozostałe odsuwa się zupełnie na stronę. Wyznać też należy, iż demokratyczny pierwiastek wywiera pewien wpływ i na umysłowy rozwój Amerykanów. Nie ma tu wcale owych wybitnych różnic wykształcenia, które widzimy w Europie pomiędzy rozmaitemi warstwami społeczeństwa; słusznie zauważano, że nawet zdolności do wykształcenia są jednakowe prawie pomiędzy Amerykanami; niema pomiędzy nimi przykładów ani tak zupełnej ciemnoty, ani też genialności, jak to ma miejsce w Europie. Najlepiej dowodzą tego ostatnie wojenne wypadki. Wątpliwości nie ma, że odkrywały one najobszerniejsze pole dla wszelkich zdolności; lecz jeżeli i znalazło się wówczas wielu godnych działaczy, to przecież nie widzimy pośród nich żadnej prawdziwie genialnej osobistości.

Rodzinne stosunki Amerykanów także zupełnie są nowe dla nas Europejczyków. Dzieci używają tu wielkiej niezależności, lubo przyznam się, że nie zdarzyło się mi być świadkiem scen, które opisują niektórzy podróżnicy, przedstawiając tę niezależność w rysach zakrawających na karykaturę. Opowiadają naprzykład, że pomiędzy ojcem i córką, która wróciła do domu po dość długiej nieobecności, zawiązuje się czasem następna rozmowa, ma się rozumieć po uściśnięciu ręki, na znak powitania:

— *Kalkuluje* (1) żeś ze sześć już tygodni w domu nie była; moja droga?

— Jak raz czterdzieści dwa dni, ojcze.

— I gdzieżeś przez ten czas bawiła?

— W Kentucki, w Illinois i t. d.

— Dobrze; a jak tam stoi bawelna?

— Podskoczyła o dwa centa.

— A cukier?

— Spadł o jeden cent; kukurydza źle stoi: papiery niujorskie w kursie.

— I nic więcej?

— Nic. Ale pozwól, ojcze, przedstawić sobie tego pana: jestto mój mąż. Wzięliśmy z sobą ślub w X. przeszłego tygodnia.

— *Sir!* *kalkuluje*, że przyjemnie mi będzie zaznajomić się z panem.

— I ja bardzo się cieszę, że szczęśliwy traf pozwala mi zarekomendować się panu.

(1) Amerykanie bardzo często powtarzać lubią to słowo *rachuje*, czyli *kalkuluje* (to *calculate*) nawet wówczas, gdy można się bez niego obejść.

Jest w tém bez wątpienia trochę przesady, ale to pewna, że niezawisłość w jakiej tu rodzice pozostawiają swe dzieci, przechodzi czasem w coś zupełnie zakrawającego na obojętność względem losu tych ostatnich. Wyznać jednak należy, że ta samodzielność, do której Amerykanin od dzieciństwa przywyka, wytwarza w nim tę energią i wytrwałość, które w całym życiu jego się pojawiają.

Mówiąc o niujorskich zabawach, zapomniałem wspomnieć o ślizganiu się na łyżwach, w którejto rozrywce Amerykanki przewyższają wszystko co w tej mierze zdarzyło mi się widzieć! Niepodobna opisać ich zręczności i wdzięku. Nie ślizgają się lecz tańczą na lodzie, tak, że każda z nich zdaje się być doskonałą baletniczką. W grudniu pogoda bardzo sprzyjała tego rodzaju zabawom. Najwykwintniejsze towarzystwo zbierało się na ślizgawce, urządzonej na rogu 5-jej alei i 58-jej ulicy. Za wejście płacono się 75 centów. Były tu i restauracye, jedna dla dam, a druga dla mężczyzn. Mężczyźni mogli wchodzić do restauracyi kobiecej, tylko wówczas gdy towarzyszyli jakiej damie. Oprócz tych zabaw, w tymże czasie, to jest około Nowego Roku, było wiele loteryi fantowych, urządzonych w celu dobroczynnym. Bogaci ludzie robią bardzo nieraz hojne ofiary w podobnych razach. Wygrane bywają ogromne: 5, a nawet 10 tysięcy dolarów. Zdarzyło się mi być na jednym wieczorze, urządzonym także w celu dobroczynnym przez niemiecko-amerykańskie towarzystwo, i tu przekonałem się, że Niemki nauczyły się od amerykańek postępować sobie bez ceremonii. Stół na wieczórę został zastawiony mnóstwem waz i koszy z owocami, konfektami, piernikami, ciastkami i t. d., ale ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, zanim podali pierwszy półmisek, piękne zgromadzenie wypróżniło wszystkie wazy i kosze, przesypanwszy wszystko co w nich było do swoich kieszeni. Niektóre nawet przemysłne matki rodzin przyniosły zapewne w tym celu potężnej wielkości torby i worki. My mężczyźni pozostaliśmy w całym tego słowa znaczeniu bez deseru. Nie byliśmy też szczęśliwsi i z innemi pokarmami: sentymentalne piękności tyle ich sobie nakładały na talerz, żem się wydziwił nie mógł amerykańskiemu apetytowi. Niektóre tylko troskliwe małżonki pamiętały o swoich mężach, ale o nas kawalerach nikt się wcale nie troszczył. To też wstaliśmy od stołu zupełnie głodni. Jużto w ogóle człowiek nieznanym poczytuje się tu za jakiegoś Paryż, i jako taki zasługuje na wszelkie kary.

W braku pieczeni i sosów, musieliśmy poprzestać na mowach, którymi nas uraczyli niektórzy z obecnych. Powiedziano wiele dobrych rzeczy, ale pomimowoli musiałem się uśmiechnąć, słuchając retorycznego frazesu „o delikatnych różach, które obecnoscia swoją przyozdobiają nasze zgromadzenie,” i myśląc jednocześnie o tém, że te to właśnie róże pozbawiły nas całej prawdziwej kolacyi.

Do użytecznych zakładów dobroczynnych zaliczyć należy *noclegi* dla dzieci, tak zwane *lodging houses*. Wątpliwości nie

ulega, że nędza ze wszystkimi jej smutnemi następstwami, wielką jest we wszystkich wielkich miastach; lecz to com widział tutaj, lub co słyszałem od wiarogodnych osób, z tém chyba tylko da się porównać to co się dzieje w Londynie. W Nowym Jorku istnieją całe ubogie cyrkuły, w których gnieźdzą się dzieci opuszczone lub zbiegłe od rodziców. Znany autor opowiada że poszedł raz do teatru ludowego, który się znajduje w jednym z takich ubogich cyrkułów. Przy wejściu został literalnie obłożony przez tłum małych włóczęgów, których większa część karana już była za złodziejstwo lub inne lotrostwa. Sto rąk wpadło do jego kieszeni, ale spodziewał się tego zawczasu i nie miał z sobą; mali więc złodzieje niczem się nie pożywili. Usiadłszy w orkiestrze, rzucił okiem po sali: było w niej około 700 chłopaków, od 8—12 lat, brudnych, obdartych, zupełnie pozbawionych cieplejszej odzieży. Większa ich połowa zadnej nawet bielizny na sobie nie miała. Niektórzy byli pijani, wszyscy w ogóle bardzo hałasowali; kłócili się, bili i dopuszczali się nieprzyzwoitych żartów z dziewczynkami tegoż samego wieku. Te ostatnie sceny taki nieraz obrót przybierały, że potrzeba było wmięszania się policyi.

Dobroczynni ludzie starają się ocalić tych nieszczęśliwych. W tym celu urządzono „noclegi,” w których chętnie zatrzymują te dzieci, które oświadczą chęć pozostania. Przyjętych do zakładu uczą rzemiosł i czytania, i oddają na służbę do ludzi uczciwych. Wiele było przykładów, że z tych biednych istot, skazanych na zupełną zgubę moralną, wychodzili ludzie porządni dobijający się bytu niezależnego pracą uczciwą.

Dążność do dobroczynności w ogóle wielce jest rozwiniętą w Ameryce, że wspomnim tu tylko o „kantorze wyzwolonych” (*Freedmen's office*) założonej przez obywateli Północy, za czasów dobroczynnego Linkolna, dla niewolników południowych. Zakład ten wiele dobrego poczynił: dzięki jemu, załatwiono więcej niż 40,000 spraw pomiędzy czarnymi i białymi, wiele set tysięcy niewolników otrzymało możność utrzymywania się własną pracą; chorzy, kalecy i sieroty otrzymali pomoc i opiekę. Ale na nieszczęście wszystkie prawa Południowych Stanów skierowane są na to tylko, by powstrzymać wszelki rozwój ras kolorowych. Nawet zakładanie szkół dla nich tylko z trudnością otrzymuje potwierdzenie od rządu, handel ich ograniczony wszelkimi sposobami, a nawet zabronione im wejście do jednych kościołów z białymi. Niezadowolony jeszcze tém wszystkiem rząd, poruczył generałom Stidemanowi i Fullertonowi odbyć w Południowych Stanach, tak zwany inspektorski objazd, z tajemnem poleceniem uznania działań „kantoru wyzwolonych” podejrzanem i stawiania przeszkód jego czynnościom.

Opisując jaki kraj niepodobna zamilczeć o jego literaturze. Ogólny stan oświaty jest w ogóle bardzo wysoki w Ameryce, a zamiętowanie do czytania książek, jest tu więcej nawet upo-

wszechnione niż w Anglii. O swobodzie zdań nie ma co i mówić. Zdawałoby się, że przy takich warunkach, obfitość oryginalnych utworów byłaby faktem najnaturalniejszym. Dzieje się jednak zupełnie przeciwnie, a przyczyn tego szukać nienależy ani w braku czasu, ani w braku ambicyi autorskiej, pomiędzy ludźmi wysoko ukształconemi. Nie można też powiedzieć, że oryginalnych dzieł dlatego tak mało, że dzienniki pochłaniają wszystkie nowe utwory, chociażby zupełnie nawet nieodpowiednie do pism czasowych. Ubóstwo amerykańskiej literatury zdaje się prawdopodobnie pochodzić skutkiem strasznego napływu angielskich dzieł, które stanowią ważną gałąź handlu w Nowym Yorku, Bostonie i Filadelfii. Księgarnie są zawałone temi płodami, tak, że literackie wykształcenie Amerykanów żywi się tylko utworami dawniej metropolii, skutkiem tego przytłumia się wszelki rozwój własnej narodowej literatury w kraju, który posiada wszystkie warunki po temu, a mianowicie: wysokie ukształcenie umysłowe, wybitną samoistość i zupełną oryginalność poglądów. Wpływ ten tak dalece jest silny, że nawet w tych niewielu oryginalnych amerykańskich utworach nie prawie nie masz amerykańskiego, wyjąwszy niektórych idiotyzmów; a u lepszych nawet pisarzy, jak u Longfellowa, Prescottta, Washingtona Irvinga, i tego nawet nie ma, tak że słusznie można ich uważać za angielskich autorów, którzy tylko przypadkiem wydają swe utwory w Ameryce. Ekscentryczności Poe'go są raczej osobiste, aniżeli narodowe: Cooper jest Amerykaninem tylko z wyboru przedmiotów.

Ze wszystkich sekt, w które Ameryka obfituje, największy wpływ wywierają metodyści, i można przypuścić, że wpływ ten przytłumi z czasem wszystkie inne, bo ilość metodystów wzrasta w strasznym stosunku. Pierwszy metodysta zjawił się w Ameryce w 1766 r. a obecnie cała *trzecia część* ludności Stanów Północnych należy do tej sekty. Dodać do tego należy, że ci fanatycy posiadają ogromne bogactwa, i że każdy z nich zobowiązuje się nawrócić przynajmniej jednego grzesznika na „łono świętej nauki,” jak się wyrażają. Chciałem być na *pobornym meetingu* tych sekciarzy. Odbywał się w dolnem pięttrze ich kościoła, gdzie się mogło zmieścić około tysiąca ludzi. Gdy wszedłem meeting już się rozpoczął. Widok tego com ujrzał smutne sprawił na mnie wrażenie. Mnóstwo osób klęczało, zakrywwszy twarz chustką lub rękami, i płacząc, szlochając lub wołając na głos: „*Oh, Jesus! Poor sinner I am! Give me salvation, oh, Lord!*” (O Jezu! Jam nędzny grzesznik! Zbaw mnie, o Pani!) i t. d. Przed ołtarzem leżało krzyżem kilka osób; tu też klęczał jakiś człowiek z zamkniętymi oczyma, z głową w tył odrzuconą i rękami wyciągniętymi, któremi machał i głośno wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe słowa (podług nauki metodystów, sam Duch Święty wkłada w usta osób będących w extazie,

to co te ostatnie mówią). Wszystko to wydało mi się teatral-ném, sztuczném, chorobliwie fanatyczném. Wreszcie całe zgromadzenie powstało i zaintonowało modlitwę, kończącą się niemelodyjnym frazesem: „*He can cure a sin sick sou.*” (On zbawieć może i spragnioną grzechu duszę).

Następnie miał mowę jeden wędrowny kaznodzieja (*itinerant preacher*), słynny ze swęj potęgi (*power*). Powierzchnowość tego człowieka była oryginalna. Takim wyobrażam sobie Jana z Lejdy: wydatne, ostre zarysy twarzy, blade i zapadłe policzki, wysokie czoło, otoczone czarnemi włosami, nadzwyczajna gętkość głosu, przechodzącego od najcichszego, pieśczętliwego tonu, do ogromnego prawie huku. Sądję, że to był fanatyk, który się wydoskonalil długą wprawą. Za temat swęj mowy obrał szczęśliwość sprawiedliwych i męczarnie grzeszników, i wyznać należy, że umiał swęj mowie nadać tak poetyczny i groźny odcięć, że nie dziw iż wywarła ona silne wrażenie. Rozwinąwszy najokropniejszy obraz, nagle zamilkł, i niespodzianie przeszedł do ubolewania nad nieszczęsnymi, którzy nie weszli jeszcze na drogę prawdy. „Być może, dodał, że niektórzy z nich są tu obecni”... I znowu począł w jaskrawych barwach malować wszystkie okropności piekła, które téj jeszcze nocy może ich pochłonać, poczem zaczął modlić się głośno, by błądzący zostali oświeceni prawdziwem światłem Ducha Św. „Tu, tu, do ołtarza” wołał poglądając na lud ognistym wzrokiem... I słowa te poskutkowały: pięć lub sześć kobiet wstało z miejsca, podeszło staniając się do potężnego kaznodziei i bez sił upadło mu do nóg. Całe zgromadzenie znowu tenże sam hymn zaintonowało. Wyznać należy, że metodyści znają się na rzeczy, i że efekt, który starają się wywrzeć na swoich słuchaczy, nie może przejść bez wrażenia na słabe umysły. Ale na mnie scena ta przykre sprawiła wrażenie, i pomimo woli przypominałem sobie prostą nieozdobną mowę pastora negra, którą slyszalem będąc w jednym ze Stanów niewolniczych. Chowano murzynkę, pokojówkę żony plantatora, u któregoż czas jakiś gościłem. Byłem obecny wraz z gospodarzami przy tym smutnym obrzędzie, i dziś jeszcze tkwi mi w pamięci skromny cmentarz z drewnianemi krzyżami, na których wypisane tylko imiona: Sambo, Pompejusz, Cezar i t. p. bez żadnych komentarzy, i prosta niezgrabna postać czarnego kaznodziei, mówiącego zepsutym językiem i nie umiejącego wyszukać zręcznych i dobitnych wyrażeń; ale ten obraz w oczach moich ma daleko większą wartość, aniżeli obra-chowane na efekt kazanie metodystów.

Napozór dziwném się wydaje, że Ameryka, kraina przedewszystkiem praktyczna, posiada tak niesłychanie wielką ilość sekt. Ale nienależy wystawiać sobie Amerykanina tylko jako spekulanta zbierającego pieniądze. Zna on wprawdzie wartość pieniędzy i nie lubi trwonić czasu w beczynnem rozumowaniu o wszystkiem i o niczem; jest on od nas nieskończenie praktycz-

niejszy i wytrwalszy, nie mniej jednak może oddać się zupełnie jednej idei, i oddać się nie tylko w słowach i marzeniach, ale czynem, poświęceniem swoich wygod i mienia. Przykładów na to dostarczyła ostatnia wojna domowa, a i teraz widzimy to samo w dziełach oświaty, dobroczynności i t. d. Ale oprócz tego są chwile, w których duch Amerykanina rzuca na czas jakiś swoje praktyczność, wszystko co jasne, prawdziwe, określone, matematycznie udowodnione, a skłania się ku nieokreślonemu i nadprzyrodzonemu. Nie więc dziwnego, że każde religijne mniemanie znajduje tu odgłos i zyskuje zwolenników z nadzwyczajną szybkością. Amerykanin jakby się obawiał, by go nie przygniotła ta materialna część życia, która pochłania wszelkie jego zabiegi, i ztąd rzuca się z niesłychanym zapałem do wszystkiego, co go od ziemi oderwać może. Rozmowy z pozagrobowym światem, wywoływanie duchów, stoliki wirujące i tym podobne bołamuctwa przyszły do nas z Ameryki.

Dla uzupełnienia charakterystyki Amerykanina, wypada coś powiedzieć o ich namiętności do zakładów: pod tym względem bodaj że przewyższają oni Anglików. Ja sam omal nie stałem się ofiarą tej niepohamowanej namiętności, lubo osobiście bynajmniej nie dałem do niej powodu. Płynęliśmy z Saint-Louis do Altony w górę Mississipi. Dzień był pochmurny, wiatr wiał gwałtowny; fale wielkiej rzeki podnosiły się bardzo wysoko, i coraz bardziej przyjmowały ten brudno-żółty odcień, którym się ta rzeka różnia. Przy przeciwnym wietrze i falach, które wówczas rzekę pokrywały, nie dziw, że parostatek wszystkie siły musiał wyęczać, by z dostateczną prędkością płynąć przeciw wodzie; to też kapitan naszego „Rindera” nie załował paliwa i pieca.

Parochód był przepelniony podróżnymi: ludzie i paki literalnie zapełniali cały pokład. Znajdowali się tu przedstawiciele wszystkich narodowości i stanów: Amerykanie, Niemcy, Francuzi, murzyni i t. d., adwokaci, deputowani, misjonarz z surową fizyognomią, sentymentalne lady pod gośćmi welonami, kupcy, komiwojażerowie, fermerzy, rozmaici przedsiębiorcy i humbogiści (*humbug-maker*), poczynając od konstruktorów olbrzymich kolei żelaznych, do sprzedających eliksir życia.

Właśnie byłem zajęty badaniem tego różnorodnego tłumu, gdy wiatr się wzmógł i kilka kropli deszczu spadło na pokład: to zmusiło wielu pasażerów do zejścia na dół, by szukać wygodniejszego schronienia w kajucie. Pokład się wypróżnił, z czegośmy bardzo byli radzi, bo nam pozostałym było wygodniej. Parostatek okropnie się wahał, a dym z komina wygryzał oczy i wcale nieprzyjemną wonią nosy zapełniał; nie obawiałam się jednak kołysań, bo nie podlegam morskiej chorobie, a od przykrych woni miałem w ustach wyborne hawańskie cygaro. Znajdowałem nawet szczególną przyjemność i w tém podrzucaniu parostatku z boku na bok, i we wściekłości fal, wówczas, gdy owinięty

w ciepłe palto i pled siedział i czuł się zupełnie bezpiecznym, pomimo wściekłego gniewu żywiołów.

Bezpiecznym! Ależ nikt nie może nazywać się bezpiecznym na amerykańskich parostatkach lub kolejach żelaznych; oprócz bowiem zwykłych przypadków, które wszędzie mogą się przytrafić, pasażerom zagraża tu jeszcze i co innego: a mianowicie, przyjemność wylecenia w powietrze z machiną parostatku lub stratowania kołami zgruchotanych pociągów, i to wszystko z łaski kapitanów lub konduktorów, nie dlatego iżby się nie znali na służbie lub byli niezdolni, lecz z powodu nieszczęsnego szafu spółzawodnictwa. Wypadki, odnoszące się do tej ostatniej kategorii, daleko są częstsze od pochodzących z nieuwagi lub przyczyn naturalnych.

Rzeka pokrytą była mnóstwem statków, które płynęły bądź w jedną z nami stronę, bądź w dół rzeki. O parę-set sążni przed nami szedł parostatek „Minerwa”. Dopełdzaliśmy go powoli, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa, kapitan jego zauważył to i także przyspieszył biegu, tak żeśmy daleko z tyłu pozostali. „Mój panie, czy ten parowiec co tam płynie, także należy do waszego towarzystwa?” zapytał naszego kapitana mały, przysadzisty człowieczek, okryty szerokim płaszczem. „Nie, sir”, odparł kapitan, długa i chuda figura, w rodzaju Don Kiszota, ale z miną zdeterminowaną i poważną. „W takim razie, kapitanie, *kalkuluje*, że nie pozwolisz temu ladaco dopłynąć przed nami do Altony?” wymówił wyzywającym prawie głosem mały dżentelman. „*Kalkuluje*, że się pan nie mylisz, zimno odpowiedział kapitan, i jeżeli nie przybędę na pół godziny przed tym niegodziwcem do Altony, to niech będę przeklęty i niech mi sądono będzie na zawsze pić wodę z cukrem, zamiast *branditoddli*!”

I na potwierdzenie swój chwalebnej determinacyi, rozkazał natychmiast dodać paliwa do pieca. Mały człowieczek wlażył tymczasem na ławę, żeby lepiej widzieć ruch obu parostatków, i zwrócił się do innego dżentelmana w wielkim słomianym kapeluszu. „Zakładam się o dziesięć dolarów, że prześcigniem!” wymówił wyniosłe. „A ja zakładam się o 50, że to nie nastąpi!” odparł tenże niedbale. — „Zakładam się o 5 dolarów za naszego kapitana!” zawołał jeden farmer. „A ja tyleż stawię przeciw niemu!” zaryczał inny. „Sto dolarów, że nie dogonim!” rzucił ktoś z poza mnie. Odwróciłem się i ujrzałem męczyznę o szerokiej twarzy i takież plecach, który wyglądał na kalifornijskiego poszukiwacza złota. „Przyjmuję ten zakład!” odrzekł wykwintnie ubrany dżentelman, który dotąd jak się zdawało nie zwracał uwagi na tę scenę, — „a jeżeli pan przegrasz, to pieniądze pójdą na rzecz kapitana!” „I pańskie także!” — „Zgoda.”

Wiesć o mającém nastąpić *steamboat racing* (wyścigi parowców) przebiegła z szybkością błyskawicy po pokładzie, a następnie i po kajutach, z których w mgnieniu oka wysypali się wszyscy młodzi i starzy, mężczyźni, kobiety i dzieci. O wszy-

stkiem zapomniano w tej chwili: i o kartach i o bufecie i o deszczu. Jestem pewny, że nie było ani jednego człowieka pomiędzy najbiedniejszymi pasażerami, któryby się nie założył za lub przeciw naszemu parostatkowi. Najdelikatniejsze panie zapomniały o wietrze i duszącym dymie; najzarozumialsii dzentelmani odłożyli na stronę swą nadętą powagę, abolicyoniści i południowcy swą nienawiść polityczną. Wszyscy jedną tylko myślą zajęci byli: „prześcignim czy nie?” ale nikomu jak się zdaje na myśl nie przyszło, że przy tych nierozsądnych wyścigach stawia się na kartę życie każdego z nas.

Wątpliwości nie ma, że na „Minerwie” działo się coś podobnego do tego co miało miejsce u nas. Pokład jej był okryty pasażerami, którzy oka nie spuszczały z naszego „Rindera”. Kapitan ciągle wydawał rozkazy, majtkowie biegali, maszyny ostatni sił dobywały. Widocznem było, że jak u nas tak i tam, każdy tém tylko był zajęty, który z parostatków otrzymuje zwycięstwo, a zupełnie o tém nie myślał, że i przed zwycięstwem, może wylecieć w powietrze. Gdyby kto i wyraził taką myśl, niktby zapewne nie zwrócił na nią uwagi, i wyznać muszę że sam byłem w jakimś uroczystym nastroju ducha, który zagłuszał we mnie wszelkie podszepty zdrowego rozsądku.

„Minerwa” wszystkie siły wyęczała, ale nasz parostatek był w ogóle nierównie lepiej zbudowany niż nieprzyjacielski, i dlatego z każdą chwilą coraz większą zdobywał przestrzeń, przy wściekłych okrzykach publiczności; ci nawet pasażerowie, którzy się zakładali przeciw kapitanowi, zapomnieli o tém, że mogą przegrać i cieszyli się jak szaleni, w przewidywaniu zupełnego zwycięstwa.

Ale w tejże samej chwili, gdy „Rinder” zrównał się z przeciwnikiem, rozległ się ogłuszający trzask, i wszyscyśmy popadali jeden na drugiego. Uchwyciłem się za jakiś przedmiot i spojrzałem dokoła... Straszne widowisko ujrzałem... Ościeć pokładu wyleciała w górę, a z otworu buchał słup płomieni. Wtém, odłamała się jedna z komór kolowych, i wpadła w wodę wraz ze stojącym na niej kapitanem. Kajuta kapitańska rozpadła się w druzgi i spadła z pokładu, pociągając z sobą wielu pasażerów. Ci co pozostali cali i nieuszkodzeni stracili rozum ze strachu, i rzucali się po pokładzie, popychając jedni drugich. „Kocioł pękł! Spuścić szalupę!” dawało się słyszeć ze wszystkich stron.

Nigdy nie zapomnę tej chwili! Okropne niebezpieczeństwo przebudziło we wszystkich ślepy egoizm, bezlitośne, okrutne uczucie, hańbiące rodzaj ludzki: kobiety i dzieci padały, ale nikt nie zwracał uwagi na ich płacz i narzekanie. Niektórzy pasażerowie wskoczyli w wodę, inni mimowoli w nią wpadli. Spuszczono jedną szalupę; ale tylu ludzi do niej wskoczyło, że nie wytrzymała i przewróciła się... Nowe krzyki... A ogień tymczasem z okropną rozszerzał się szybkością.

Potrzeba oddać sprawiedliwość „Minerwie.” Zapomniała w tej chwili o zniewadze, jaką chcieliśmy jej wyrządzić, i spuściła

wszystkie swoje szalupy dla naszego ocalenia. Toż samo uczynił jeden z parostatków idących za nami i tym sposobem okazano nam wszelką możliwą pomoc. Nie pamiętam dobrze jakim sposobem i ja znalazłem się na bezpiecznym miejscu. Dzięki Niebu wyszedłem bardzo szczęśliwie z tego wypadku, bom stracił tylko niewielką torbę podróżną, zresztą byłem zdrow zupełnie. Nie wielu jednak było tak szczęśliwych: około pięćdziesięciu pasażerów albo utonęło, albo zginęło na pokładzie; wielu ciężko było rannych, a z parostatkami, który poszedł na dno, zatoneły wszystkie towary i bagaże.

W kilka dni potem dzienniki ogłosiły publiczności o przytrafionej katastrofie, i na tem wszystko się skończyło.

Rząd washingtonski oddawna zabronił podobnych wyścigów, a przełamujący to prawo ulegają wielkim karom pieniężnym; pomimo tego jednak *steamboat-races* powtarzają się i nie przestaną się powtarzać, bo sama publiczność im sprzyja. A jakież prawo zdoła wykorzenić narodową namiętność?

W życiu narodów spostrzegać się daje jedna szczególna tajemnicza cecha: jest nią dążność do przesiedlenia ze wschodu na zachód. Tak było w czasach najstarożytniejszych, to samo widzimy dziś jeszcze. Azyatyckie ludy przestały zalewać Europę, ale natomiast Europejczycy przeprowadzają się przez ocean do Ameryki. Nie sam tylko złotodajny piasek lub nienaruszona pługiem gleba, wabią niezliczone tłumy emigrantów, udających się do Kalifornii, Konzasu, Kolorado lub Montany; nie zaiste, ludzi tych ciągnie jeszcze coś takiego, co nazwać można wewnętrzną misją rodu ludzkiego, misją, którą spełniają bezwiednie, ale która niezmiennie zmusza ich dążyć na zachód dopóty, aż wszystkie części kuli ziemskiej jednakowo prawie zaludnione nie będą.

Skutkiem tego przez całą połowę roku, po pierwotnych drogach amerykańskich stepów, ciągną się nieskończonym pasmem karawany emigrantów. Są tygodnie, w których mimo warowni Kirne, około której koniecznie przejeżdżać muszą wszyscy udający się na zachód, przechodzi od 4,000 do 5,000 rozmaitych wozów. Wozy te, ciągnięte przez muły lub konie, i pokryte płóciennym białem okryciem, wydają się zdala niby powoli posuwającą się flotyllą.

W wozach tych mieszczą się starcy, dzieci i kobiety wraz z odzieżą i niezbędnymi sprzętami w życiu kolonisty: młodzi ludzie jadą konno. Wielu z nich niema nawet obuwia, co nie przeszkadza im jednak mieć nadzieję, że wrócą nababami z błogosławionej zachodniej krainy, — i nadzieja ta wcale nie jest płożną, bo Ameryka jest krajem cudów, i mnóstwo w niej znajdzie się milionerów, którzy wprzódby żebrakami byli.

Karawany takie odbywają dziennie 12—20 mil angielskich. Za nadejściem nocy podróżni zatrzymują się, ustawiają wozy do koła, zapędzają konie i bydło w środek taboru, i obwarowują się w nim wedle możności na przypadek napadu czerwono-skórych.

Drogi bowiem w ogóle wcale nie są bezpieczne. Z twierdzy Kirne rozsyłają się patrole na wszystkie strony, ale co mogą one począć w tych nieskończonych stepach, przeciw dzikim łupieżcom, szybkim jak antylopy, a dającym znać o sobie tylko krwawymi śladami, które po sobie zostawiają? Pocztowym powozom towarzyszą zwykle konna eskorta; oprócz tego na każdej stacji utrzymują się piesze sztyldwachy, ale pomimo tego i poczty często są napadane. Nie wstrzymuje to jednak bynajmniej ogólnego ruchu na Zachód, owszem wzmógł się on znacznie w ostatnich czasach, a mianowicie po ustaniu wojny domowej. Spodziewać się należy, iż po ukończeniu olbrzymiej kolei żelaznej „Wschodniego oceanu,” ożywią się i te pustynie, a dzięki energii rządu i osób prywatnych, kraj zupełnie oswobodzony zostanie od indyjskich łupieżców.

Jeszcze w roku zeszłym udało się mi zwiedzić kopalnię złota w prowincyi Kolorado... Eksploatacya złota niedawno tu jeszcze się zaczęła, a jednak Kolorado po Kalifornii jest już najbogatszą w złoto krainą. Dotąd odkryto tam około 10,000 złotodajnych min, a mnóstwo przemysławiających machin w nieustannym znajduje się ruchu. Na wschód Ameryki ludzie starają się zbożać za pomocą rolnictwa i handlu; na zachód, każdy mieszkaniec jest niestrudzonym poszukiwaczem złota, albowiem Kolorado, Nevada, Montana, słowem wszystkie zachodnie prowincye północnej Ameryki, pokryte są górami, a uprawa gleby i wszelki inny przemysł nie mogą ani w setnej części dać tego, co daje przemysł górniczy.

Złotodajne te okolice zwiedzałem z bardzo miłym człowiekiem, panem G. Siedliśmy na wózek pocztowy, przepawiliśmy się promem przez Plattę, i zaczęliśmy się piąć na pierwsze rozgałęzienia wspaniałych gór, które szeroko na widnokręgu się rysowały. Oto i ciasny wąwóz, przez który wchodzi się w góry, zwany tak dobitnie „złotą bramą” (Golden-Gate); oto i cudny Klir-Krik, z szumem spadający ze strasznej wysokości. Z obu stron naszej drogi wznosiły się nakształt ścian prostopadłych nagie skały, uwieńczone ciemną zielenią jodeł i sosien. W ciemnych przepaściach błyszczały strumienie, odbijające wszystkie kolory tęczy i cudnie łamiące się z promieniami słońca, które przypadkowo w tę straszną głęb zajaśniało. Widok był wspaniały; psuły go tylko wyrąbane miejsca: las został użyty na rozmaite budowle. Co robić! Duch czasu pomimo narzekań poetów przyjemne poświęca dla użytecznego.

Droga szła przez góry do Central-City, głównego punktu i niby serca złotodajnej krainy. Pięliśmy się coraz wyżej i wyżej; droga stawała się coraz bardziej niebezpieczną: to się podnosiła prawie prostopadle, to niespodzianie w najstraszniejsze zapadała przepaści. Ale zapominaliśmy o niebezpieczeństwach, zachwycając się krajobrazem, który nas otaczał. Na samym wierzchołku zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy dokoła. Denver-City,

z któregośmy niedawno wyjechali leżał tak nisko, że domy jego wydały się nam niby małemi ciemnymi punkcikami. Po za nim rozciągał się nieskończony step, podobny do morza zielonego. Nazajutrz rano ujrzelśmy i góry śnieżne, których lodowiska w dziwnie fantastyczny sposób odbijały się na słońcu. Zagłębiając się coraz dalej w góry, dotarliśmy wreszcie do części północnej Klir-Kriku, (Clear-Creek) który płynie tu spokojnie, w głębi wąskiej doliny. Na brzegu rzeki widzieliśmy mnóstwo machin przemysłowych, zbudowanych z drzewa lub z granitu. Drogą przed nami ciągnęły się wozy naładowane drogocennym towarem. Ogorzałe, dziko wyglądające postacie snuły się tam i sam, rozmawiając z sobą w języku niezrozumiałym dla niepawykłego ucha. Na skałach tu i owdzie sterczały blokhausy, niby gniazda drapieżnych ptaków. Wszystko cośmy widzieli dookoła świadczyło o nieustannej pracy. Wjeżdżaliśmy do „starej kopalni Jerzego”, najdawniej odkrytej w tych górach. Główna eksploatacja odbywa się na przestrzeni 3 mil angielskich. Widziałem wiele górskich osad w podróżyach moich po Niemczech i Szwajcaryi, ale to com miał w tej chwili przed swojemi oczyma, nie zgoła nie ma wspólnego z temi spokojnemi miasteczkami i wioścyczynami: wszystko tu wrzało chorobliwą działalnością, o której w Europie ani pojęcia nie mamy.

Postanowiliśmy zabawić tu kilka dni, by poznać bliżej pracę i zwyczaje poszukiwaczy złota. Niektórzy turyści przyjęli sobie za zasadę malować tutejszą ludność, jako zbieraninę wszelkich wyrzutków społeczeństwa, i zapewniają, że każdy z tych zuchów, gotów w każdej chwili powitać cię kulą lub nożem, za to tylko, że mu się fizyognomia twoja nie podobala. I ja wprawdzie spotykałem tu ludzi bardzo nieokrzesanych, nie troszczących się wcale o swą powierzchowność i przyzwoitość, i więcej może niż potrzeba oddanych ulubionemu *wiski*; ale w każdym razie nie takich potworów, za jakich podawały ich pomienione opisy. Wątpliwości nie ulega, że zaraz po odkryciu tutejszych min, zbiegło się tu wiele podejrzaných osobistości, wiedzionych żądzą prędkiego z bogacenia się; obecnie wszakże ci tylko tu przychodzą, którzy nie obawiają się pracy. Pod względem rass, najzupełniejsza mieszanina: spotkać tu można i jasnowłosego Niemca, i wysmukłego kreola, i lekkiego Francuza, i poważnego yankesa; ale cała ta zbieranina prowadzi w ogóle życie regularne, i poddaje się powszechnie przyjętemu porządkowi rzeczy, wyjąwszy jednych tylko Irlandczyków, którzy zyskali smutną sławę opilców i włóczęgów.

Kopalnie, podziemne roboty, tajemnicze ognie, oświecające fantastyczne grupy robotników, wszystko to tyle już razy opisywano, że nie myślę tu powtarzać znanych rzeczy; powiem tylko, że zdaniem wszystkich doświadczonych i uczonych ludzi, w górach skalistych tyle znajduje się skarbów, że dosyć ich było dla z bogacenia wszystkich narodów kuli ziemskiej.

Zresztą, gdzieżto czasem nie zabrze człowiek w nadziei zyskania bogactw! Amerykańskie dzienniki podają, że przed kilką laty pewien żyd, nazwiskiem Szware, uroił sobie, że w kłóakach i kanałach rynsztokowych Nowego Jorku, znajduje się mnóstwo kosztownych przedmiotów; nie namyślając się długo, zszedł tam, przepędził trzy doby w tym okropnym podziemnym labiryncie, i powrócił z rozmaitemi srebrnemi i złotemi rzeczami, których wartość obliczają na 27,000 dolarów. Według własnych jego zeznań, znalazłby nierównie więcej jeszcze rzeczy, gdyby nie zabłądził i nie trafił zamiast Broadway i innych bogatych cyrkułów w inną, stosunkowo uboższą część miasta. Na drugą zaś wyprawę nie stało mu serca, zbyt bowiem był nastraszone przebytami niebezpieczeństw.

Przed odjazdem naszym ze złotodajnej krainy, zdarzyło się mi widzieć kilka typów prawdziwych leśnych Indyan. Trzej z nich należących do spokojnego plemienia, zostającego w pewnym przymierzu z poszukiwaczami złota, zjawili się w kopalni celem uniewinnienia się z ciężącego na nich zarzutu kradzieży koni. Wyrazili się bardzo złą angielszczyzną, ale jak się zdaje mówili bardzo szczerze, i przyrzekali odszukać winowajcę, by go przykładnie ukarać. Starszy z nich był naczelnikiem plemienia, dwaj pozostali—synami jego.

Wracając ze swęj wycieczki w góry, rozmawialiśmy nieraz o niestrudzonej działalności białych mieszkańców północnych Stanów, i porównywaliśmy ją z tą opieszłą guśnością, która cechuje południowe Stany. Weźmy na przykład choćby i obie Karoliny. Na granicy ich z północną częścią związku, t. j. w części gdzie nie można jeszcze z korzyścią uprawiać ryżu, trzciny cukrowej i bawełny, ciągną się nieprzebyte sosnowe lasy, których produkta umiejętnie użytkowane, mogłyby sownie wynagrodzić niedostatków, pochodzące z jałowych, gliniastych gruntów. Takby niewątpliwie postąpiła ludność Stanów północnych. Ale podróżny przejeżdżając tym lasem, widział wprawdzie wielu negrów, bądź niewolników, bądź najętych, którzy rąbali olbrzymie drzewa, lub robili na nich nacięcia, celem otrzymania żywicy; alem oprócz dozorcy, nie mógł dostrzedz ani jednego białego człowieka wśród tej masy robotników. Największa nędza nie zmusi białego do przyjęcia udziału w pracy, przez czarnych dokonywanęj. Upředzenie to i dziś jeszcze istnieje, pomimo wszelkich usiłowań światłych mieszkańców północy, którzy po przytłumieniu powstania poczęli się starać o wykorzenienie proletaryatu w południowych Stanach.

Łatwo jeszcze pojąć, dlaczego bogaty plantator, który urodził się i wychował wśród zbytków, przywyka robić wszystko cudziemi rękami, i z pogardą spogląda na wszelką pracę; ale jak sobie wytłumaczyć, że ludzie literalnie z głodu prawie umierający, do żadnej nie chcą wziąć się pracy, tylko dla tego, że urodzili się białymi? Swobodni murzyni żyją od nich daleko lepiej, ubie-

rają się przyzwoicięj, a nawet skutkiem tego dobrobytu, dochodzą nieraz znakomitego stopnia rozwoju umysłowego, ale ci biali nędzarze, *white trash*, jak nazywają, gują w swęj gnuśności i pomimo swych łachmanów, spoglądają na czarnych z pychą, przypominającą ubogich hidalgów Kastylli. Bogaci plantatorowie podtrzymują w nich tę ambicyą z własnego interesu: małemi darami starają się utrzymać ich w swęj zawistości, to też w razie potrzeby mogą na nich polegać. Więc dają im to kawał ziemi w swoich posiadłościach, to parę razy w tydzień obdzielają resztkami pańskiego stołu i t. d. Ale w dżdżystą porę roku upływają nie tylko tygodnie, ale miesiące, w ciągu których wszelka komunikacya pomiędzy temi chałupami i pałacami ich patronów zupełnie jest przerywaną, i wówczas jedynem prawie pożywieniem tych nieszczęśliwych jest glina. Od tej dziwnej karmi otrzymali oni nazwę *clay-caters* (glinojady). Rzecz dziwna, że tak przywykają do tego pokarmu, iż wówczas nawet gdy są zupełnie syci, nie przestają jednakowoż przeżuwać gliny. Ale tak nienaturalne pożywienie, ma naturalnie bardzo opłakany wpływ na zdrowie tych biedaków. Cera ich jest żółta, przykre sprawiająca wrażenie na patrzącym, co im nawet zjednało charakterystyczne przezwisko u północnych Amerykanów: *tallow-face* (bladolicych, dosłownie koloru świecy łojowej).

Podczas bytności mej w Ameryce przed pięcią laty, miałem zrzeczność być w Północnej Karolinie i własnemi przekonać się oczami o fizycznęj i moralnęj nędzy tych biednych istot. Przyjechałem z jednym towarzyszem do Elizabettown, z kąd robiliśmy wycieczki do okolic. Raz spotkała nas straszna burza, o dziesięć mil od miejsca, w którym mieszkał znany nam plantator. Było już późno gdyśmy z narażeniem życia przeprawiali się przez bystry, szeroko wezbrany strumień. Po niestęchanych trudnościach zdołaliśmy się zeń wydostać, ale radość nasza niedługo trwała, bo droga na przeciwnym brzegu była niezmiernie kamienista. Ledwieśmy się wlekli, deszcz lał jak z cebra, ciemność panowała dookoła, a upragnionego domu plantatora wcale widać nie było. Położenie nasze w rzeczy samęj stawało się okropnóm, gdy wtém czarny nasz stangret Faro, zawołał: „Massa! ogień!” Jakoż istotnie w niewielkiej od nas odległości, z poza czarnej gęszczy drzew migało jakieś światelko. Sądząc żeśmy stanęli u celu podróży, popędziliśmy naszego konia, który zupełnie już ustawał, ale niestety, zbliżywszy się do tak pożądanego światła, zamiast eleganckiego domu plantatora, ujrzeliśmy nędzną chałupę, zaledwie mogącą udzielić nam schronienia od gniewu rozhukanych żywiołów. Zawsze jednak było to ludzkie mieszkanie, i dla tego zatrzymaliśmy się.

Drzwi otworzył nam chłopak dziesięcio lub dwunastoletni, żółty, chorobliwéj cery, raczej do cienia niż żyjącej istoty podobny. Prawdziwy *tallowface*! Weszliśmy. Jedyń pokój ubogiego mieszkania oświecał się dymiącém i trzaskającym łuczywem. Za-

miast krzesła leżały na podłodze trzy lub cztery grube sosnowe pieńki; dwa niskie łóżka, o połamanych nogach, stały w kątach zarzucone brudnymi łachmanami, które i odzież i pościel zarazem stanowiły. Na kominku stała drewniana misa, jedyne całe naczynie w domu. Przez szczeliny ścian świstał przeraźliwie wiatr, a przez dach lał się deszcz jak przez przetak.

Cały ten obraz obejrzałem jednym rzutem oka, ale wtém oczy moje zostały jakby przykute na miejscu. Wprost przedemną, na kulawém krzeselku, które dostało się tu zapewnie ze złoconych apartamentów plantatorki, siedziała jak posąg grecki, dziewczica Bosa, napół naga, z długimi wijącemi się i czarnemi włosy, wydała się mi niby jaką boginią. Wpatrywała się bacznie we mnie swemi czarującymi, czarnemi oczyma, a ja zupełnie oniemiałem na niespodziany widok tak doskonałej klasycznej piękności. Ale wrażenie to nie długo trwało. Brudne łachmany, które miała na sobie, i same ciało grubą warswą błota pokryte, przywróciły mi przytomność, i wówczas dopiero zwróciłem uwagę na nieprzyjemną żółtą barwę twarzy mojego bóstwa... I w innym kącie izby siedziała staruszka z dwojgiem dzieci, również brudnych i żółtych, i spoglądających na nas wielkimi czarnemi oczyma.

— „Czy daleko do domu pana Kerri?” — zapytał mój towarzysz. — „Z pięć mil!” odparła stara. — „Czy same jedne tu mieszkanie!” — „Nie, mężczyźni na polowaniu.” — „Na cóżby mogli polować tak późno?” — „Łowią murzynów.”

Kazałem Feremu postawić konie pod przyzbą i podać worek z wiktuałami. — „Czy nie macie czego do zjedzenia?” — zapytałem naszych gospodyń. — „Nie,” odpowiedziano. — „Jako, nie nie ma!” — „Nie, od czasu jak deszcze się zaczęły.”

Rozwiązałem worek i wysypałem wszystko co się w nim znajdowało na płytę kamienną, zastępującą miejsce stołu, bo tego ostatniego nie było. Widok jadła ożywił te napół martwe istoty, które rzuciły się na nie z gorączkową łapczywością i poczęły prędko pożerać.

— Siadź i ty, Fero, i tobie jeść się pewnie chce, — rzekłem do swego stangreta.

Klasyczna piękność spojrzała na mnie wzrokiem najwyższej pogardy.

— Spodziewam się, że nie zechcesz pan, byśmy razem jadły z jakimś tam murzynem? — rzekła wzgardliwie. Jesteś pan dżentelmanem i znasz się zapewnie na przyzwoitości!

— Przebacz pani! — odrzekłem z naleźnuem uszanowaniem. Nie miałem zamiaru wyrządzać pani zniewagi. Fero zje potem.

Po obiedzie, który gospodynie nasze aż do najmniejszej okruszyny sprzątnęły, żółtolica rodzina znowu wróciła do swej nieruchomości, nie spuszczając z nas swych wielkich żółtych oczu. Towarzysz mój zauważał pociechu, że mu jakoś mdło robi się w tém towarzystwie figur woskowych. Po chwilowém milczeniu stara zapytała:

— „Zkąd panowie przybywacie!” — „Z Waszyngtonu,” odpowiedzieliśmy. — „Oż to ten Waszyngton?” — „Stolica Związku; tam znajduje się kongres, tam mieszka prezydent.” — „Prezydent! dla czegoż abolicyoniści obrali sobie murzyna prezydentem.” — „Linkoln bynajmniej nie jest murzynem.” — „Więc któż on taki?” — „Człowiek, który los swój zawdzięcza własnej swej wartości i pracy.” — „Pracy? więc musi być chyba murzynem?” — „Na Północy pracują i biali ludzie, pomimo swej cery.” — „Więc hańbią cały Związek! Ale spodziewam się że kobiety przynajmniej potępiają ich za to?” — „Owszem, same pracują, służą w fabrykach, kantorach, uczą dzieci...”

Klasyczna piękność obrzuciła nas wzrokiem od stóp do głowy, i wymówiła powoli:

— „I te kobiety zarabiają pieniądze?” — „Tak, miss, ma się rozumieć; — odparłem — i dzięki tym pieniądzom mogą nosić piękne czyste suknie, łączyć jakiś fundusik i otoczyć troskliwością starych swych rodziców. Czyliżby się takie życie i pani nie podobało?” Usteczka żółtoliciej bogini pogardliwie się wykrzywiły.

— „Wolę niż to wszystko, zachować godność własną!” — odrzekła z wyniosłością nie do naśladowania. Walać swe ręce pracą..

Nie mogłem wstrzymać się od uśmiechu. To *walać ręce* było niezrównane, w ustach podobnej nędzarki. Rzuciwszy po dolarze żółtoliciej rodzinie, spieszenie wsiedliśmy do kabrioletu, alem długo nie mógł zapomnieć „glinojadów” i ich wyobrażeń o godności człowieka.

